

Chciał krzyczeć, chciał wołać o pomoc, lecz bał się, bo Iwan mógł jeszcze kręcić się gdzieś w pobliżu, mógł go dosłyszeć, o wtedy czekała go pewna śmierć.

I w milczeniu dalej przedzierał się przez krzaki, zapadając często aż po pas w śniegu. Zwolna zrobiło się nieco jaśniej; śnieg przestał padać i księżyc wyrzał z poza chmur, oświetlając wąską ścieżynę. Radość napełniła serce młodego detektywa: dojrzał, że las kończy się już i o parę kroków dalej rozpościera śnieżna równina. Wiedział, że tuż pod lasem ma być folwark i zdawało mu się, że jest już uratowany.

Ale ta radość nie trwała długo. Ożywiony nadzieją, zrobił jeszcze kilka kroków i na samym kraju lasu padł bez czucia. Siły opuściły go już zupełnie.

I leżał tak chwilę, dysząc ciężko, gdy wtem, gdzieś w dali, usłyszał szczekanie psa. To mu nowych sił dodało. Z trudem dźwignął się nieco — i spojrzał na równinę. O jakie ćwierć wiorsty dojrzał zabudowania. To musiał być ów folwark, o którym mówiła mu Wiera. Zrozumiał, że jeśli zdoła się tam doczłapać, jest uratowany.

Wstał i ledwo ciągnąc nogi za sobą, począł iść prosto w kierunku tych zabudowań. Szczekanie psa odezwowało się znowu...

Chwiejnym krokiem, zataczając się jak pijany, zdążył Włodzimierz naprzód.

— Jeszcze tylko kilka minut! jeszcze z dwieście kroków — szeptał detektyw, jak w gorączce i szedł dalej, a zdawało mu się, że końca niema tej drodze.

I nagle nogi obsunęły mu się w śniegu. Znowu upadł. Wyteżył wszystkie siły, ale nie mógł się już podźwignąć. Sparł się więc tylko na rękach i spojrzał przed siebie. O dwa kroki widać było parkan, otaczający zabudowania i bramę. Chciał człapać się naprzód, lecz nie był w stanie ruszyć ani ręką ani nogą. Rozpaczliwy krzyk wyrwał mu się tylko z gardła:

— Na pomoc!... Ratunku!... ratunku!... ratunku!...

I w tej chwili pociemniało mu w oczach. Stracił przytomność.

Za bramą rozległo się zawzięte szczekanie. Czujny kundys poczuł obcego i jak szalony, rwał się na łańcuchu. Drzwi od chaty otworzyły się cicho i wysunęła się na podwórkę postać z latarką w dłoni, otulona w kożuch chłopski, człapiąca drewnianymi pantoflami, których tak chętnie używają wieśniacy rosyjscy. Był to wysoki, barczysty, siwy jak gołąb starzec, który wprost skierował się do budy kundysa i zaczął go uspokajać.

Ale słowa jego nie pomagały. Kundys szczekał coraz głośniejsze i rwał się ku bramie.

Stary wieśniak, właściciel folwarku, spał już od dawna, gdy szczekanie psa zbudziło go ze snu. Znał czujność swego kundysa i wiedział, że albo złodzieje są gdzieś w pobliżu, albo też stało się ogółem coś niezwykłego. Ubrał się więc czempredziej i wyszedł na podwórkę. Ale tu wszystko było spokojne i nic podejrzanego nie mógł spostrzedz. Przez czas jakiś wieśniak nasłuchiwał, lecz i za bramą panowała cisza. A jednak pies czekał bez przerwy i rwał się na łańcuchu, jakgdyby kogoś chciał na kawałki potargać.

Stary wieśniak czuł, że mimo tej ciszy, musiało się stać coś nadzwyczajnego. Bez wahania więc spuścił swego kundysa z łańcucha, a ten — jak szalony, skoczył ku bramie i począł drzeć ją pazurami. Starzec pospieszył za nim. W towarzystwie psa nie obawiał się niczego, bo znał jego siłę i odwagę. Otworzył bramę... Pies ruszył naprzód i stanął w tej chwili, wyjąc żałośnie.

W głębokiej fosie, tuż pod bramą, leżał jakiś człowiek bez życia.

— Zbłąkany podróżny! — rzekł wieśniak półgłosem — kto wie nawet, czy nie zmarznięty już! Trzeba go jednak ratować, bo to chrześcijański obowiązek...

I starzec, chwyciwszy psa za obrozę, zaprowadził go na podwórkę, przypiął znowu na łańcuchu, poczem uderzył w dzwon alarmowy.

Na dźwięk dzwonu ze stajen i chaty wybiegło kilku młodych parobków.

Przy ich pomocy stary wieśniak przeniósł podróżnego do chaty, kazał go rozebrać do naga i nacierać śniegiem całe ciało póty, póki nie poczerwieniało zupełnie.

— Ma ranę w głowie! — rzekł wieśniak do parobków — albo więc wpadł w ręce jakichś zbrodniarzy, albo w lesie spadła nań gałąź podczas burzy! No chłopcy, a teraz zanieście go do łóżka i zapalcie dobrze na kominie!...

Po jakiej półgodzinie Włodzimierz otworzył

oczy. Pociągnął potężny łyk wódki z flaszki, którą mu podał, pochylony nad nim starzec i nagle zatrzęsł się jak w febrze. Szeroko otwartymi, błędnymi oczyma potoczył po izbie i dreszcz znowu przeszedł jego ciało.

— Mordercy! — krzyknął — mordercy! To wyście zamordowali Borysa Jaroszyna! Ale szubienica was nie minie! mordercy!...

I wyczerpany, upadł na łożo, dysząc ciężko. Stary wieśniak pokiwał smutnie głową i zwrócił się do parobków:

— Idźcie spać chłopcy! już ja sobie sam dam z nim radę...

Przeczuwał jakąś straszną tajemnicę i nie chciał, żeby obcy ludzie słyszeli majaczenie chorego...

Polowanie na ludzi.

W czterdzieści ośm godzin później.

Zmierzchało się już silnie, gdy duże sanie, zaprężone w trzy wyborne rysaki — jak wicher mknęły po śniegu. W sankach siedziało pięć osób,



Pies ruszył naprzód i stanął w tej chwili, wyjąc żałośnie.

tak zawiniętych w futra i koce, że twarze ich prawie widać nie było. Byli to ludzie, którzy nie mówili do siebie ani słowa, tylko bacznie rozglądali się dokoła. Woźnica, który siedział osobno na samym przodzie, co chwila śmigał batem i popędzał konie, które i bez tego mknęły jak strzała. W dali widać już było czarną smugę lasu, przed którym wznosiły się zabudowania gospodarcze, rodzaj małego folwarczku.

Gdy sanki zatrzymały się przed bramą, rozległo się w powietrzu dzikie szczekanie psa; konie przerażone, wstrząsnęły tak silnie łbami, że wszystkie dzwonki odezwały się głośno, jęklawie. Brama była już dobrze zamknięta. W tych okolicach było tylu różnych niebezpiecznych włóczęgów, że wieśniacy musieli się mieć zawsze na baczności. Gdyby nawet już nikt inny nie zakradł się do obejścia, jak któryś z tak zwanych pielgrzymów, co nigdy niczego więcej nie pragnęli, jak tylko przespacerować się na sianie w stodole, już i to było niebezpiecznem. Taki jeden, lub drugi włóczęga, bez żenady cmił w stodole fajkę i nieraz całe gospodarstwo puszczał z dymem. Gdy wieśniak zdołał go przychwycić, krótko załatwiał z nim sprą-

wę. Prostu wrzucał go do płonącej stodole. Wprawdzie lynch tego rodzaju karany był pałkami i katogą, ale w odległych zakątkach Rosyi praktykowano ten zwyczaj bez obawy. Nie było oskarżyciela, a gdzie niema oskarżyciela, tam niema sądu, niema kary...

Woźnica zeskoczył z kozła i ujął silnie konie przy uździennicach. W tej chwili stary kożuch, w jaki był odziany, rozsunał się nieco i błysnął z pod niego mundur żandarma. Pięciu przybyłych mężczyzn szybko wydobyło się z sani i jeden zaczął gwałtownie pukać do bramy. Szczekanie psa nie ustawało, a równocześnie ktoś poza bramą spytał donośnym głosem, czego przybyli żądają.

— Otworzyć! — zabrzmiała odpowiedź — otworzyć w imieniu prawa!...

Skrzypnęły zawiasy i brama stanęła otworem. Stary wieśniak ze zdumieniem spoglądał na pięciu stojących przed nim ludzi.

— Wasza miłość! — rzekł do jednego z nich, na którego oczy wszystkich były zwrócone — to chyba pomyłka! U mnie się nic nie stało!

— Zobaczymy! — odpowiedział krótko zagadnięty.

Starzec spojrzał na mówiącego i wszystko wyjaśniło mu się odrazu.

— Ach! to wasza miłość, poznaję i wiem już, o co chodzi.

Woźnica bez rozkazu wprowadził konie na podwórkę, a Włodzimierz, skinąwszy na towarzyszy, wszedł wraz z nimi za saniami i zwrócił się do gospodarza:

— A teraz zamknijcie bramę i wpuście nas do izby.

Młody detektyw w czterdzieści ośm godzin po takich strasznych przejściach powrócił ze żandarmami, aby zapolować na zbrodniarzy.

Całą noc przeleżał w malignie na łożu starego wieśniaka, ale nad ranem wróciła mu przytomność. Jego zdrowa natura przezwyciężyła chorobę i zmęczenie, a gospodarz choć prosty chłop, znał się na leczeniu i tak dobrze pilnował swego pacjenta, że ten nad wieczorem podniósł się z łóżka. Febra przestała mu dokuczać, rana na głowie okazała się bolesną, ale nie niebezpieczną. Wprawdzie członki ciężały mu jak ołów, wprawdzie ledwo, że mógł ruszać rękami i nogami, ale mimo to, nie chciał dłużej leżeć bezczynnie, nie chciał spoczywać, lecz błagał gospodarza, aby go natych-

miast kazał odwieźć do najbliższego miasteczka, w którym był posterunek żandarmeryi. Stary wieśniak gwałtem chciał coś od niego wydobyć, dopypywał się, co spotkało go tej nocy, w której znalazł go bez życia pod bramą swego folwarku, ale Włodzimierz miał dlań jedną tylko odpowiedź: „Poczekajcie jeszcze dobie, albo trochę więcej — a dowiecie się o wszystkim! Teraz każcie mnie tylko odwieźć do miasteczka i nie pytajcie o nic. Bądźcie jednak pewni, że potrafię was sownie wynagrodzić!“

Stary wieśniak nie pytał już więcej, tylko kazał zaprzadzić do sani i odesłał Włodzimierza do miasteczka, które było oddalone od folwarku o trzy godziny dobrej jazdy. Na drugi dzień Włodzimierz był już z powrotem, ale nie sam. Towarzyszyło mu pięciu żandarmów.

— Mamy w tej okolicy przedsięwziąć pewne arestowanie — mówił Włodzimierz do wieśniaka, zdążając ku chacie — tutaj zostawimy sanie i jednego z naszych towarzyszy, a sami pójdziemy dalej pieszo. Pamiętajcie, żeby naszym koniom nie brakło niczego.

(Ciąg dalszy nastąpi).